

Radio „Solidarność”



1981–1985

W lutym 1981 roku powstała w Zarządzie Regionu „grupa radiowa” przygotowująca audycje przekazywane następnie na kasetach magnetofonowych do radiowęzłów zakładowych we Wrocławiu, Głogowie, Wałbrzychu i Brzegu.

Działalność ta została dokładnie opisana przez Szczepana Rudkę w wydanej w 2005 roku książce pod tytułem *Radio Solidarność Wrocław 1981, Rozgłoszenie wrocławskiej opozycji. Część I*.

Co ciekawe, mimo prostych form przekazu informacyjnego, niewielkiego zasięgu i braku ambitniejszych gatunków radiowych w ofercie programowej Radio „Solidarność” budziło poważne zaniepokojenie działaczy partyjnych najwyższego szczebla. Sam Stefan Olszowski, partyjny ideolog, raczył zwrócić uwagę na niebezpieczeństwa płynące z głoszenia wolnego słowa; dla niego radio to było gorsze nawet od Wolnej Europy, co zespół redakcyjny przyjął jako dowód wielkiego uznania dla swojej pracy.

Ostatni epizod tamtego Radia „Solidarność” miał miejsce w Pafawagu, gdzie w otoczonego przez ZOMO zakładzie działał radiowęzeł wykorzystywany aż do pacyfikacji w nocy z 14 na 15 grudnia 1981 roku.

Potem jeszcze wielokrotnie udawało się redaktorom internowanym w Nysie potajemnie nagrywać audycje i przemycać je na zewnątrz, gdzie trafiały do kierowanego przez Regionalny Komitet Strajkowy i nadającego już programy w eterze Radia „Solidarność” Wrocław.

Pierwsza audycja podziemnego Radia „Solidarność” została nadana w Warszawie w kwietniu 1982 roku. Zorganizowali je Zofia i Zbigniew Romaszewscy, których już po trzech miesiącach zgarnęła SB. Fale eteru musiały się wydać władzy bronią niezwykle groźną, skoro małżeństwo Romaszewskich dostało za tę właśnie działalność wyroki 4,5 i 3 lat więzienia.

Pierwsza audycja Radia „Solidarność Walcząca” we Wrocławiu trwała kilkanaście minut i została nadana w paśmie UKF 27 czerwca 1982 roku. Nadajnik miał moc około jednego wata. Audycja była słyszalna mniej więcej w promieniu kilku kilometrów, głównie w śródmieściu Wrocławia. Kolejne nadawano co tydzień o tej samej porze, zapowiadając emisję w kolportowanych w mieście ulotkach. Służby radiopelengacyjne namierzyły, zresztą przypadkowo, dopiero trzecią audycję nadaną 11 lipca.

Władzy nie było do śmiechu, dlatego do walki z podziemnym radiem mobilizowała coraz większe siły. Powołano zespół radiopelengacyjny – pisze w swym opracowaniu Wojciech Sawicki – który swoim zasięgiem objął cały Wrocław, a składał się z następujących części:

- ośrodka kierowniczego, koordynującego akcję,
- 2 specjalnych radiowych punktów obserwacyjnych, wyposażonych w 4 wysokiej klasy urządzenia odbiorcze działające na falach UKF,
- 7 półstacjonarnych wojskowych urządzeń radiolokacyjnych typu P-363, rozmieszczonych na obrzeżach miasta,
- 20 ruchomych grup operacyjnych SB, wyposażonych w przenośne pelengatory produkcji radzieckiej typu Filin, rozlokowanych przed akcją w specjalnie określonych sektorach po całym Wrocławiu, posiadających stałą łączność bezprzewodową z ośrodkiem koordynującym całą akcję.

Każdej z takich jednostek towarzyszył dodatkowo oznakowany pojazd MO wraz z kolejnymi pracownikami SB, którzy mieli za zadanie już na miejscu odszukać namierzony nadajnik i aresztować wszelkie podejrzane osoby.

25 lipca na zapowiedzianą w prasie podziemnej i w ulotkach piątą audycję Radia „Solidarność Walcząca” oczekiwali z niecierpliwością nie tylko wrocławianie, ale i 85 świetnie zakonspirowanych pracowników Biura RKW MSW i żołnierzy LWP, wspomaganych przez całą armię (dokładnie 438) funkcjonariuszy KWMO Wrocław, którym wyznaczono zadania operacyjne i pomocnicze. Tego dnia audycja rozpoczęła się 3 minuty później niż zwykle na wolnej częstotliwości 68,3 MHz. Już w kilka sekund później, tj. po upływie czasu, jaki bezpieka i wojsko potrzebowały do precyzyjnego ustalenia fali nośnej, na której nadawano audycję, rozpoczęły swą działalność wyżej wymienione zagłuszarki, poważnie zakłócając odbiór audycji. Niebawem radiopelengatory wojskowe P-365 były w stanie wskazać w przybliżeniu miejsce, w którym ulokowano nadajnik. W sektorze tym znajdowało się już wcześniej 5 ruchomych grup operacyjnych SB, które na własną rękę – po otrzymaniu precyzyjnych wskazówek z punktu dowodzenia akcją – miały zlikwidować nadajnik. Na podstawie

dokładnych pomiarów wykonanych fi linami dwóm grupom udało się dość szybko zlokalizować dwunastopiętrowy blok mieszkalny przy ul. Grabiszyńskiej, gdzie na poddaszu, w suszarni, ukryty był niewielki nadajnik, który zlikwidowano po 5 minutach od rozpoczęcia audycji (pozostałe 3 pojazdy z tego sektora miasta zdążyły nadjechać w tę okolicę tuż przed zerwaniem emisji). W trakcie dokładnego przeszukiwania trzech sąsiadujących ze sobą bloków SB aresztowała kilka przypadkowych osób, natomiast nikogo z ekipy radiowej. Nadajnik nie wymagał podczas swej pracy obecności żadnego człowieka – pisał Wojciech Sawicki.

Wiosną 1982 roku rozpoczęły się przygotowania do uruchomienia nadawania audycji radiowych przez Regionalny Komitet Strajkowy „Solidarność”. Zadanie zorganizowania podziemnego radia powierzono członkowi RKS Jerzemu Weberowi (pseudonim „Emil”), przed stanem wojennym przewodniczącemu Komisji Zakładowej Akademii Rolniczej. Jego najbliższymi współpracownikami zostali Ryszard Wojtasik (pseudonim „Józek”), organizator audycji radiowęzłowych Zarządu Regionu „Solidarność” przed wprowadzeniem stanu wojennego, oraz Ryszard Wroczyński (pseudonim „Wojtek”), pracownik naukowy Politechniki, inżynier radioelektronik, wcześniej aktywnej, szeregowy członek „Solidarność”, skierowany przez Komisję Zakładową NSZZ „Solidarność” przy Politechnice Wrocławskiej.

Pierwszą audycję zapowiedziano na początek sierpnia 1982 roku. Opis przygotowań do niej, a także przyczyny jej niepowodzenia (wyłącznie techniczne) zostaną prawdopodobnie kiedyś przedstawione w zapowiadanej książce Szczepana Rudki. Zapewne to niepowodzenie spowodowało rezygnację pierwszego szefa Radia RKS „Solidarność” Jerzego Webera i przejęcie jego zadań przez Tadeusza Jakubowskiego (pseudonim „Augustyn”), fizyka z Uniwersytetu Wrocławskiego. W eterze Radio „Solidarność” pojawiło się 29 sierpnia 1982 roku – pisał Andrzej Krajewski w tygodniku „Newsweek”. – Program nadawały cztery nadajniki o mocy kilkunastu watów każdy. Jeden z nich postawiono na dachu bloku, w którym mieszkał I sekretarz KW PZPR Tadeusz Porębski. Drugi zupełnie przypadkiem umieszczono w budynku, w którym ukrywał się akurat przywódca dolnośląskiego podziemia Władysław Frasiński. Chyba tylko cud sprawił, że pierwsza audycja Radia „Solidarność” nie doprowadziła do ujęcia szefa RKS-u. Swoją drogą, rozpoczęła ją właśnie przemówienie Frasińskiego.

Pojawienie się kolejnego radia znów zelektryzowało wrocławską Służbę Bezpieczeństwa. Na oczekaniu stworzono grupę operacyjną, wyposażoną w dostarczone przez NRD urządzenia do pomiaru charakterystyk anten. Zainstalowano je w dwóch śmigłowcach. Kupioną w USA aparaturę firmy Hewlett Packard do namierzania pozycji nadajników zainstalowano w budynku Państwowej Inspekcji Radiowej.

Pierwsze audycje radia RKS „Solidarność” nagrywano w domu Igora Pietraszewskiego, jednego z członków redakcji, a przed stanem wojennym spikera radia przy Zarządzie Regionu. Z czasem zorganizowano miejsce zwane „lektorownią”, gdzie nagrywano audycje na taśmę. Potem Jerzy Karwelis, klucząc, żeby zmylić ewentualnych tajniaków, zaniósł je do konspiracyjnego mieszkania, gdzie było archiwum i magnetofony. Tam montowali audycje i robili tyle kopii, ile było nadajników oraz taśm archiwalnych. W pierwszym okresie działalności radia RKS nadajniki składano i strojono w domu Ryszarda Wroczyńskiego, który tak wspomina ten okres:

Nadajniki podczas pierwszej udanej emisji zostały rozmieszczone przez grupę Zygmunta Pelca. Ustaliliśmy wspólnie miejsca ich ustawienia w mieście w bardzo przemyślany sposób. Dla każdego punktu nadawania dobierano odpowiednią charakterystykę anteny nadawczej. Po nieudanej emisji z początku sierpnia przygotowaliśmy nadajniki mające cechy sprzętu wojskowego, by uniknąć prostych pomyłek i uszkodzeń. Całość była montowana w prostych skrzynkach, które były robione u Tadeusza Kozara (pseudonim „Leon”), astronoma z Uniwersytetu Wrocławskiego, który po pewnym czasie przejął kierowanie radiem. Podczas emisji pierwszej audycji jeden nadajnik był umieszczony na wysokim, XI-piętrowym budynku w rejonie ul. Powstańców Śl., między Kutnowską a Sokolą. Drugi został umieszczony możliwie w centrum miasta, na ul. Włodkowica. Trzeci stał na Różance, czwarty na Kazimierskiej. Trzy z tych nadajników zostały zdjęte przez naszych instalatorów i odzyskane, choć przyjęta taktyka zakładała, że ze względu na bezpieczeństwo należy użyty sprzęt przeznaczyć na straty.

Nadajnik trafił do koordynatora, który dostawał też od łącznika kasetę z audycją. Potem „stawiacze” instalowali gotowy do nadawania sprzęt w odpowiednim rejonie miasta. Sugestie techniczne dotyczące miejsca instalacji oraz zaprojektowanie i wykonanie specjalnych, dostosowanych do specyfiki warunków nadawania układów antenowych było zadaniem grupy technicznej. Wybieraliśmy miejsca zarówno na terenie Wrocławia, jak i w późniejszym okresie poza nim, np. Wzgórza Trzebnickie, utrudniające namierzenie. Nigdy nie wykorzystywaliśmy tego samego miejsca dwa razy. Poza tym używaliśmy anten o różnych charakterystykach promieniowania.

Milicja zlokalizowała pierwszy nadajnik dopiero podczas trzeciej audycji, 25 października 1982 roku. Był ukryty na dachu budynku przy ul. Buskiej. Ludzie z ekipy stawiaczy minęli się w bramie z ekipą, która wchodziła do góry, żeby zabrać nadajnik. Okazało się, że nadawano 50 metrów od jakiegoś sztabu wojskowego i namierzono ich w 10 minut. „Dziennik Telewizyjny” poinformował wówczas, że milicja zlikwidowała wywrotową rozgłośnię.

Nie byłoby Radia „Solidarność”, gdyby nie stały dostęp do części elektronicznych.

Kluczowym elementem nadajnika – jak wspomina Ryszard Wojtasik – był końcowy tranzystor mocy wysokiej częstotliwości. Najłatwiej było je załatwić na milicji; za pieniądze wszędzie były wejścia. Takie tranzystory bardzo łatwo ulegają uszkodzeniu, zwłaszcza jeśli są eksploatowane w ekstremalnych warunkach. Milicjanci nie złomowali wszystkich spalonych tranzystorów i później podmieniali je za dobre. Kontakt z milicją nawiązałem przez Józka z telewizji, który miał z nimi superkontakty, bo on był krótkofalowcem i oni także. Była między nimi taka solidarność krótkofalarska. Sprzedawał nam te tranzystory za duże pieniądze i zapewne wiedział, do czego zostaną użyte. Podczas prób paliło nam się dużo tranzystorów – więcej, znacznie więcej, niż zrobiliśmy nadajników.

Tranzystory mieliśmy też z PKP, gdzie miała miejsce duża afera. Przy remanencie w magazynie tych części okazało się, że brakuje strasznych ilości tych tranzystorów, końcówek mocy. Do malwersacji przyznał się szef tego magazynu Andrzej Cieśliński, mój kolega ze studiów. Nie powiedział, co z tym zrobił, i wyszedł z tego cało, bo prawdopodobnie współpracował z SB. Jednak cały handel tymi częściami musiał się odbywać bez wiedzy SB, bo ta nie dopuściła do powstania afery. Końcówki mocy przynosił też Rysiek Wroczyński. Udało się nam też kupić tranzystory sterujące u warszawskiego producenta CEMI (jedyne zakłady, które produkowały tranzystory w Polsce). To były podzespoły tzw. II grupy, które nie przeszły testów produkcyjnych. Kwestionowany był jeden z parametrów, wcale nie kluczowy, pozostałe były dobre i tranzystor nadawał się do wykorzystania. Także Andrzej Giszter zdobywał te tranzystory u siebie w pracy, w Elektromontażu, inne dotarły do nas z pogotowia. Timery, czyli układy czasowe, wykonywał Marek Jędrusin. Trochę nadajników wykonał Andrzej Giszter, część Ryszard Wroczyński. U Ryska w domu zostały też skompletowane pierwsze nadajniki i od niego zostały rozwiezione i rozmieszczone w mieście. Końcowe przygotowywanie nadajników, ich złożenie, trwało trzy dni. Mnóstwo chodzenia, kręcenia się, dwie córki Ryska, żona, która oczywiście wiedziała o wszystkim. Ja u niego nocowałem. Marek Wójcik był właścicielem syrenki, która była naszym samochodem firmowym. Zygmunt Pelc w porozumieniu z Jurkiem Karwelisem zorganizował grupę, która stawiała nadajniki, składa się ona głównie z kolegów Karwelisa. Zygmunt też miał swoich ludzi, o których było bardzo ciężko, zwłaszcza do naszej roboty; uważano, że podlega ona pod ścisły kryminał. Wszyscy się tego bali, nie wiem, dlaczego, ale kojarzono to z kontrwywiadem. Zygmunt zakładał także jeden nadajnik. Ja z Markiem Wójcikiem też założyliśmy jeden (taka antykonspiracja) na Różance, na ul. Chorwackiej. Tylko my wiedzieliśmy, jak ciężko jest zrobić ten nadajnik. Gdy się skończyła audycja, wbrew wszelkim zasadom poszliśmy go zdjąć. Oczywiście czailiśmy się, a na dachu dziesięciopiętrowego budynku (nie stawialiśmy nadajników na niskich budynkach) byliśmy dopiero o pierwszej w nocy.

Poszczególne elementy zespołów nadawczych były przygotowywane w różnych miejscach na mieście. Całość odbieraliśmy i składaliśmy dopiero tuż przed nadaniem audycji. Od Marka Jędrusina odbieraliśmy timer, od Andrzeja Gisztera końcówki, od Marka Wójcika baterie, jeszcze od kogoś obudowy. To nie była produkcja taśmowa, składaliśmy to, kaseta w ostatniej chwili i odjazd.

Podczas emisji trzeciej audycji zdjęli nam nadajnik na Buskiej – pisze Ryszard Wroczyński w swych wspomnieniach – być może zlokalizowali wówczas jeszcze jakieś nadajniki, ale ja o tym nie wiem. Na początku nadajniki montowaliśmy i uruchamialiśmy głównie u mnie w domu. U mnie też odbierano gotowy sprzęt; przyjeżdżali do mnie m.in. ludzie z Dzierżoniowa, Legnicy, Głogowa po gotowy sprzęt i instruktaż.

Zaczęliśmy wówczas szukać mieszkania, gdzie moglibyśmy robić ten montaż, uruchomienie (strojenie) sprzętu oraz jego przekazywanie instalatorom. Wtedy Rysiek Wojtasik znalazł jakiegoś swego kolegę, który mieszkał w willi na Krzykach. Ale stamtąd po trzech zebraniach wyrzucił nas wuj tego kolegi i musieliśmy wrócić do naszych mieszkań.

Wielkie znaczenie dla działania zespołu miało przystąpienie do ścisłej współpracy z Radiem RKS „Solidarność” Piotra Podolskiego. Warsztat telewizyjny w jego domu poza Wrocławiem stał się głównym miejscem uruchamiania nadajników. Tam zaczęto też stopniowo realizować pewne pomysły Piotra Skrobotowicza.

Czwarta audycja Radia „Solidarność” Wrocław, trwająca nie mniej niż 15 minut, została wyemitowana dzień po aresztowaniu drugiego szefa RKS-u, Piotra Bednarza, w poniedziałek 8 listopada 1982 r. o godz. 22.40, ponad półtora godziny później, niż wynikało to z zapowiedzi w prasie podziemnej – pisze Ryszard Wojtasik w swym opracowaniu.

Była prawdziwą rekordzistką pod względem długości, gdyż trwała aż 50 minut. Z oczywistych względów nie było w niej mowy o aresztowaniu Piotra Bednarza (czas przygotowania programu trwał minimum kilka dni), była ona natomiast niemal w całości poświęcona przygotowaniom do mającego się odbyć za dwa dni ośmiogodzinnego strajku i powszechnych manifestacji. Ze względu na długość emisji służby specjalne nie miały większego problemu ze zlokalizowaniem nadajnika, który podobnie jak poprzednio umieszczony był na dachu jednego z domów. Był on identyczny jak ten użyty 25 października, był tylko zaopatrzony w podwójny zestaw baterii 3R12.

Piąta audycja została zapowiedziana przez podziemie na 16 i 17 listopada o godzinie 21, lecz według służb radiokontrwywiadowczych została wyemitowana tylko w tym pierwszym terminie i trwała dość długo – 45 minut. Tak szybkie jej powstanie spowodowane zostało aresztowaniem Piotra Bednarza, którego chciano w ten sposób uhonorować, podobnie jak miało to miejsce w przypadku Władysława Frasyniuka. Omówienia wymagał też nieudany strajk 10 listopada. Zapewne znalazła się w niej także zapowiedziana już wcześniej druga część szkolenia „Obywatel a Służba Bezpieczeństwa”. Likwidując bez większych problemów nadajnik emitujący audycję, wrocławska SB mogła pogratulować sobie, że po raz pierwszy dokonała tej sztuki bez pomocy Biura RKW MSW.

W „Newsweeku” Andrzej Krajewski pisał: *W lutym 1983 roku nielegalne rozgłośnie zirytowały nawet „wielkiego brata”. Gdy na falach eteru pojawił się głos Radia „S”, audycję zagłuszył sygnał wyemitowany z jednostki wojskowej Armii Czerwonej stacjonującej we Wrocławiu. Słuchacze mogli usłyszeć szum i komendy wydawane po rosyjsku. Z materiałów archiwalnych enerdowskiej Stasi wynika, że od 12 do 14 lipca 1983 roku odbyła się w Warszawie tajna narada służb radiokontrwywiadowczych z Polski, ZSRR, NRD i Węgier. Jej temat brzmiał: „W sprawie zwalczania wrogiej aktywności w zakresie fal ultrakrótkich”. Zastanawiano się, jakiej pomocy mogą udzielić Polsce służby specjalne „bratnich krajów”. Tymczasem produkcja nadajników, także dla innych regionów Polski, szła pełną parą. W szczytowym okresie wrocławski RKS dysponował zapasem około 100 sztuk. W czerwcu 1984 roku pojawiły się zwiastuny tego, że SB rozpracowała radio RKS. We Wrocławiu zatrzymano wiele osób, w tym na krótko Tadeusza Jakubowskiego i Tadeusza Kozara. Rozmawiający z nimi płk SB Anatol Pierścionek jednoznacznie sugerował, że wie o ich działalności radiowej. Musiano zorganizować kolejne kierownictwo i lepiej zakonspirować radio. – Pod koniec 1985 roku wypaliliśmy się – wspomina Ryszard Wroczyński. Trwanie w ciągłym zagrożeniu, praca przy budowie i uruchamianiu nadajników, po nocach i w gumowych rękawiczkach, żeby nie zostawiać odcisków palców, opracowywana dla każdej audycji osobna taktyka rozmieszczenia nadajników i wykonanie odpowiednich anten – to wszystko prowadziło do skrajnego wyczerpania. Wpadł przypadkowo warsztat u Piotra Podolskiego w wiosce pod Wrocławiem, gdzie uruchamiano nadajniki.*

Sukcesy połączonych sił MSW, MON i służb cywilnych w walce z tą formą działalności podziemnej były, przynajmniej we Wrocławiu, dość iluzoryczne. Radio „Solidarność Walcząca” nie zanotowało żadnej poważniejszej wpadki do końca swej działalności w 1989 roku, natomiast Radio „Solidarność” Wrocław, mimo że co jakiś czas władzom udawało się namierzyć automatyczne nadajniki (z założenia przeznaczone na straty), nie zostało właściwie aż do końca swej działalności całkowicie rozpracowane, a tym bardziej rozbite.

Wcześniej czy później musiało przyjść zmęczenie – uważa Ryszard Wroczyński. – Było już wiadomo, że opozycja potrafi nadać dobrze słyszalną i zrozumiałą dla słuchaczy audycję z ważnymi treściami. Fascynacja posiadaniem niezależnego radia zaczynała stopniowo spadać. Nie bez znaczenia były ograniczenia w przekazywaniu merytorycznie ważnych treści w trwających kilkanaście minut audycjach. Radio wypełniło swoją wyjątkową misję w najtrudniejszych chwilach. Ważniejsze stało się bezpieczeństwo RKS-u, wzmocnienie podziemnych struktur zakładowych „Solidarności”, bezpośrednia pomoc represjonowanym.

W rozdziale tym wykorzystano materiały zebrane przez Szczepana Rudkę do przygotowywanej monografii i dotyczącej działalności podziemnego radia, a także artykuły: Wojciecha Sawickiego „Solidarność Wrocławska w eterze 1982–1989”, Andrzeja Krajewskiego „Uciekające radia”, Newsweek Polska 18/2003